

Kategoria 13 – 15 lat

I miejsce: Maksymilian Łukasz Kobiela

Legenda o Lwie z Lęborskiej Baszty

Dawno temu, około roku 1400, kiedy w mieście Lębork było dużo więcej murów niż domów, wydarzyła się historia, którą starsi ludzie opowiadali sobie przy ogniskach. Mój dziadek mówił, że usłyszał ją od swojego dziadka, a ten jeszcze od swojego. Dlatego postanowiłem ją zapisać, żeby nikt o niej nie zapomniał.

W tamtych czasach Lębork był miastem otoczonym wysokimi murami i basztami. Baszty były bardzo ważne, bo strażnicy mogli z nich patrzeć daleko za mury miasta i pilnować, czy nie nadchodzą wrogowie. Jedna z tych baszt była najwyższa i stała blisko bramy prowadzącej do miasta. Ludzie nazywali ją Starą Basztą.

W tej właśnie baszcie mieszkała królowna o imieniu Elżbieta. Nie była ona zwykłą księżniczką. Była bardzo dobra dla ludzi i często pomagała biednym mieszkańcom miasta. Czasem schodziła z zamku i rozdawała chleb albo ciepłe koce tym, którzy ich potrzebowali, a nawet pomagała prać szaty w rzece innym kobietom. Wszyscy w Lęborku bardzo ją lubili. Niestety, w okolicznych lasach mieszkał także zły czarnoksiężnik. Nazywał się Mroczystaw. Był zazdrosny o szczęście ludzi w mieście i bardzo nie lubił królowny Elżbiety, bo dzięki niej mieszkańcy byli radośni i sobie pomagali. Pewnej nocy czarnoksiężnik podkraść się pod mury Lęborka. Było bardzo cicho, a na niebie świecił tylko księżyc. Strażnicy byli zmęczeni i nie zauważyli, jak Mroczystaw rzucił zaklęcie. Czar sprawił, że drzwi do baszty same się zamknęły i nie można było ich otworzyć. Tak właśnie królowna została uwięziona w wysokiej baszcie.

Rano mieszkańcy zauważyli, że coś jest nie tak. Królowna nie pojawiła się na rynku, a drzwi baszty były zamknięte, jakby wielką niewidzialną siłą. Próbowano je otworzyć, ale nic nie pomagało. Wtedy z lasu zaczął nadchodzić dziwny dźwięk. Było to głośnie i mocne ryczenie. Z krzaków wyszedł wielki lew. Ludzie najpierw się przestraszyli, bo nigdy wcześniej nie widzieli lwa w tych stronach. Ale zwierzę nie wyglądało na złe. Miało złotą grzywę, a jego oczy świeciły jak dwie małe gwiazdy. Lew podszedł pod basztę i usiadł, jakby pilnował królowny. Czarnoksiężnik Mroczystaw zobaczył to ze swojego ukrycia i bardzo się zdenerwował. — Odejdź, głupie zwierzę! — krzyknął. Ale lew nawet się nie ruszył. Mroczystaw rzucił czar, który miał przestraszyć zwierzę. Jednak lew tylko zaryczał jeszcze głośniejsze. Jego ryk odbił się od murów miasta i było go słychać aż na rynku. Mieszkańcy Lęborka zrozumieli wtedy, że lew nie przyszedł zrobić krzywdy. On przyszedł pomóc. Lew pilnował baszty dzień i noc. Gdy tylko czarnoksiężnik próbował się zbliżyć, zwierzę stawało przed wejściem i ryczało tak głośno, że Mroczystaw musiał uciekać z powrotem do lasu. Minęło kilka dni. Mieszkańcy zaczęli przynosić lwu wodę i jedzenie. Lew jednak jadł bardzo mało. Najczęściej po prostu siedział i patrzył na basztę, jakby wiedział, że jego zadaniem jest chronić królownę. Pewnej burzowej nocy czarnoksiężnik

postanowił spróbować jeszcze raz. Pomyślał, że gdy będzie dużo wiatru i deszczu, nikt nie zauważy jego czarów. Podeszedł pod basztę i zaczął wypowiadać zaklęcie, ale wtedy lew nagle wyskoczył z cienia. Zaryczał tak potężnie, że aż natrzęsty się stare mury miasta. Błyskawica rozświetliła niebo i przez chwilę wszyscy zobaczyli ogromnego lwa stojącego przed czarnoksiężnikiem. Mroczysław przestraszył się tak bardzo, że upuścił

swoją księgę czarów. Wiatr porwał kartki i rozrzucił je po całym placu. Bez swoich zaklęć czarnoksiężnik nie miał już żadnej mocy. Uciekł do lasu i nigdy więcej nie wrócił do Lęborka. W tej samej chwili zaklęcie na drzwiach baszty przestało działać. Strażnicy spróbowali jeszcze raz i tym razem drzwi otworzyły się bez problemu. Królowna Elżbieta była wolna. Mieszkańcy bardzo się ucieszyli. Wszyscy zebrali się na rynku, żeby świętować. Królowna podeszła do lwa i pogłaskała go po grzywie. — Dziękuję ci, dzielny przyjacielu — powiedziała. Lew spojrzał na nią spokojnie. Potem jeszcze raz zaryczał, ale tym razem był to ryk radości. Następnego dnia rano lwa już nie było. Zniknął tak samo nagle, jak się pojawił. Niektórzy mówili, że wrócił do lasu. Inni twierdzili, że był magicznym strażnikiem miasta.

Na pamiątkę tej historii mieszkańcy postanowili umieścić lwa w herbie Lęborka, żeby zawsze przypominał o odwadze i ochronie miasta. A stare baszty stoją w Lęborku do dziś i przypominają o tej legendzie.

Morał tej historii moi mili jest taki: prawdziwa siła nie polega tylko na magii albo władzy. Największą siłą jest odwaga, dobroć i chęć pomagania innym. Dzięki temu nawet zwykły lew może stać się bohaterem całego miasta.

MAX

II miejsce: Ksawery Rudziński



Autor: Rudzik

„WODA”

Legenda o Jeziorze Żarnowieckim

Dawno, dawno temu na terenie dzisiejszej Wysoczyzny Choczewskiej istniały dwie osady: ludzka i stolemowa. Sąsiedzi ci żyli w pokoju, lecz każda osada miała swoje sprawy, zwyczaje i troski. Jednak jeden ze stolemów był bardzo ciekawy otaczającego go świata, a więc także życia ludzi. Nazywano go Żarkiem, bo z żarem podchodził do życia. Był bardzo wytrawnym rolnikiem, latem sadił ozimą pszenicę, żyto lub jęczmień, natomiast wiosną zboża jare: owies albo pszenżyto. Jego zbiory wielokrotnie pozwalały sąsiadom przetrwać zimą, przednówek lub czasy niedoboru jedzenia.

Niestety, kiedy zbliżał się czas siewu, naszemu Żarkowi często brakowało wody. Długo rozmyślał nad tym problemem, załamywał się, tracił nadzieję, potem znowu szukał rozwiązania... Któregoś dnia poszedł w swoim żalu do osady ludzi, przechadzał się ulicami i rozglądał. Szedł i rozmyślał, aż zobaczył coś dziwnego. Ludzie wyciągali cebry z wodą z dziwnej rury wkopanej w ziemię. Zadziwiony zapytał się napotkanego przechodnia:

- Co to jest?
- To studnia. – odpowiedział człowiek.
- Studnia? A do czego to służy? – zapytał olbrzym.
- Dzięki niej wszyscy mamy wodę. – wyjaśnił człowiek.
- Nie rozumiem.... My, stolemcy, ciągle mamy za mało wody. – poskarżył się
- Chodź i zajrzyj do środka, a sam się przekonasz, jak działa studnia. – odpowiedział ze śmiechem mężczyzna.

Stolem chętnie przyjął zaproszenie. Studnia była bardzo głęboka, a na jej dnie Żarek zobaczył... wodę! Zafascynowany odkryciem stolem wpadł na pomysł, by wykopać podobną dziurę na swojej ziemi, tyle że o wiele, wiele większą, by już nigdy nie musiał martwić się, czym podleje rośliny na polach. Natychmiast po powrocie do siebie zaczął kopać wymarzoną własną studnię. Kopał tak przez wiele dni i nocy, aż wreszcie natrafił na wodę. Zaczęła powoli

wlewać się do ogromnego wykopaliska, a stołem patrzył z radością i planował, jak podzieli się droгоценną wodą z innymi. Kiedy woda zapełniła cały dół, Żarek wziął wielkie wiadro i zaczął z uśmiechem podlewać wszystkie rośliny dookoła.

Po kilku dniach wszyscy zauważyli, że pola Żarka są zielone, jego rośliny większe i wyglądają zdrowiej, niż na polach innych stołomów. Stołomy zaczęły częściej odwiedzać Żarka, podglądać jego pola i dopytywać się, jak dokonał swojego „rolniczego cudu”. Zdziwiający akwen wodny Żarka stał się punktem zbiórek oraz spotkań, miejscem rozmów i zabawy.

W końcu i ludzie zauważyli to całe „zgromadzisko” olbrzymów. Zciekawieni postanowili sprawdzić, co jest tak fascynujące, że wieczorami skupia stołomy. I tak jednego z wieczorów poszli w grupie nad zbiornik wodny stołema. Na początku zbliżali się powoli, obserwowali olbrzymy i obawiali się wrogich reakcji. Jednak stołomy nie miały złych zamiarów, a wręcz czuły wdzięczność do ludzi za pokazanie Żarkowi studni. Pierwsze wspólne wieczory ludzi i stołomów nad wodą Żarka były pełne rezerwy, milczenia i niepewności. Jednak po kilku tygodniach mieszkańcy obu osad bardzo się zaprzyjaźnili, rozwiązywali wspólnie problemy, razem płakali nad nieszczęściami, dzielili się radościami i żartami. Rozmawiali ze sobą o wszystkich sprawach od wstania, aż do chrapania.

Po kilku latach sąsiedzi byli już tak życzliwi, że nowe domostwa budowano coraz bliżej osady sąsiada, aż doszło do ich połączenia. I tak ludzie zamieszkali ze stołemami, a stołomy z ludźmi. Życiodajny zbiornik wody wykopany przez Żarka na znak przyjaźni, współpracy i pomocy sąsiedzkiej nazwano Jeziorem Żarnowieckim.



III miejsce: Aniela Czech

Legenda o Najadach z Czarnego Jeziora oraz o tym, skąd się wzięła nazwa „Sarbsk”

Dawno temu, nad „Czarne Jezioro”, które znajduje się niedaleko Sarbska, w województwie pomorskim, w starym lesie, przyjechała rodzina Czeszkowskich. Było lato, wyczekiwane od dawna przez wszystkich wakacje, a powietrze niesło zapach ziemi i kwiatów. Jezioro było duże i lśniło tak, że dało się w nim spokojnie przejrzeć. Rodzinka postanowiła zatrzymać się akurat tutaj, by zapomnieć o codzienności i odpocząć.

Jednak kiedy zobaczyli jezioro i podeszli bliżej, ich uwagę przykuło coś jeszcze, co nie pasowało do wakacyjnej sielanki - w piasku stał znak, na którym widniał czerwony rysunek: człowiek wchodzący do wody, a na nim gruba linia przekreślająca jego sylwetkę. Niżej napis: „Zakaz kąpieli”.

Angelika podeszła do mamy z westchnieniem.

- Mamo, dlaczego nie wolno się tu kąpać? - zapytała z zawodem w głosie, wyginając usta w podkówkę.

Tata, który właśnie zaczął rozkładać koc, machnął ręką, jakby to była drobnostka.

- Spokojnie, nie martwcie się. To pewnie tylko jakieś stare, niepotrzebne ostrzeżenie - odpowiedział lekko, jakby nie widział w tym nic niezwykłego.

Ale mama, siedząc na przewróconym pniu drzewa, spojrzęła z tajemniczym uśmiechem na dzieci, a potem na męża.

- To nie jest zwykły zakaz. To, że nie można się tu kąpać ma swoje powody- zaczęła, a w jej głosie słychać było nutę powagi i ekscytacji. - Istnieje pewna historia, która to wyjaśnia. Chcecie się dowiedzieć?

Laura oraz Jagoda, czyli dwie pozostałe siostry podeszły bliżej, zaciekawione. Tata również usiadł obok mamy z wielkim uśmiechem, nadstawiając uszu.

- W porządku. Tylko ostrzegam, że ta opowieść jest dość straszna. Na pewno chcecie postuchać? - dziewczynki ochoczo kiwnęły głowami.

- Dobrze. Nadstawcie uszu i wsłuchajcie się w odgłosy natury.

I tak, przy szumie wiatru i lśnieniu jeziora, mama zaczęła opowiadać...

- Jakiś czas temu, w dokładnie takie samo lato jak dzisiaj, kiedy promienie słońca świeciły jak piekarnik, pewna rodzina przyjechała nad to właśnie Czarne Jezioro na wakacje by zażyć kąpieli...

- Tak samo jak my! - zawołała podekscytowana Jagoda.

- Cicho Jagoda! - Angelika spojrzała na siostrę, zdenerwowana, że ta przerwała historię.

- Spokojnie, dziewczynki. Słuchajcie dalej - mama uśmiechnęła się, po czym kontynuowała:

- Jak już mówiłam, w to samo miejsce co my przyjechała rodzina. Wtedy nie było jeszcze tego znaku, dlatego nie spodziewali się żadnego niebezpieczeństwa.

Było ich troje. Mama, tata oraz syn. Nim jeszcze rozpakowali swoje rzeczy, szesnastoletni Sarbsk (bo tak nazywał się ich syn) wbiegł do wody.

Była przyjemna, piasek miękki, a chłodny wiatr niósł zapach jeziora. Zanim zdążyli go powstrzymać, chłopak wskoczył do jeziora. Wszyscy myśleli, że to będzie zwykła kąpiel. Niestety, to był błąd.

- Coś mu się stało? Co mu się stało? Czy on utonął? - nie przestawała ekscytować się Jagoda.

- Jak chcesz się dowiedzieć słuchaj dalej. Teraz dopiero zacznie się robić ciekawie, ale również przerażająco. Jesteście pewni że chcecie posłuchać? - dopytywała mama.

- Jasne, że tak. Opowiadaj dalej- zachęcał tata, otulając mamę ramieniem.

- Dobrze. Słuchajcie dalej...

- Nagle, gdy Sarbsk był już dość daleko od brzegu, woda wokół niego zaczęła wirować. Poczuł potężną siłę, która zaciągała go pod powierzchnię. Próbował się wyrwać, ale na próżno. Woda wciągała go jak gęsty koszmar, z którego nie mógł się obudzić. Jego oddech stawał się coraz słabszy, cieńszy. Poczuł, jakby nie tylko woda, ale i coś innego miało go w swoich rękach.

Pod powierzchnią jeziora panowała ciemność, gęsta niczym smoła. Woda z sekundy na sekundę stawała się coraz bardziej lodowata. Sarbsk zaczynał tracić siły. Słyszał przytłumione głosy rodziców, ale to już nie miało znaczenia. Nagle otoczyło go coś... innego niż woda.

Gdy wyostrzył wzrok na tyle, na ile potrafił, dostrzegł je. **Najady.**

Zewsząd otoczyły go postacie. Kobiety o długich, jasnych włosach. Ich ciała były przezroczyste, jakby one i woda były jednością. Ich twarze były piękne, lecz

pozbawione wyrazu, jakby nie były w pełni ludzkie. Oczy były wielkie, puste, a spojrzenie nie miało w sobie ani śladu ciepła.

Sarbsk poczuł jak ich długie i cienkie dłonie owijają się wokół niego. Ich palce były ostre niczym szpony. Jedna z Najad patrzyła na niego swoimi martwymi oczami. Nie było w nich cienia współczucia ani żadnej litości.

Woda wokół chłopca coraz bardziej gęstniała. Sarbsk próbował krzyczeć, jednak nie był w stanie złapać oddechu. Woda, która wcześniej była tak przyjemna i kojąca, wypełniła jego płuca lodowatym chłodem. Jego serce biło coraz wolniej, a nogi i ręce stały z każdą chwilą.

Ciało zaczęło zapadać w toni, a Najady odplynęły, jakby nigdy ich tam nie było.

Na brzegu, rodzice chłopca z ogromnym przerażeniem w oczach, wołali go bez końca. Niestety nie było już żadnych szans na uratowanie syna.

Dni mijały i mimo że rodzina już dawno opuściła to miejsce, ludzie zaczęli mówić o mrocznej, ciemnej tajemnicy, jaka kryła się w tych wodach. Dlatego też nazywa się ono do dzisiaj „Czarnym Jeziorem”. Wioska, która wkrótce powstała w tej okolicy nazwana została „Sarbsk” - na cześć chłopca, który stał się częścią tej mrocznej wody... - mama spojrzała na dzieci i męża, czekając na opinię.

Jagoda patrzyła z przerażeniem w oczach na rodzicielkę.

- To było... niesamowite - podsumował tata, wstając z pnia drzewa. Spojrzał w niebo, które zaczynało przybierać już barwy różu i czerwieni.

- Późno się zrobiło. Musimy wracać. Przyjedziemy innym razem.

- Tak. Chodźcie dzieciaki do auta- ponagliła mama.

Wszyscy zaczęli kierować się w stronę samochodu. Tylko Angelika została chwilę jeszcze na brzegu. Wpatrywała się intensywnie w jezioro i przez chwilę zdawało jej się, że kątem oka widzi przeźroczystą dłoń Najady. Pokręciła przecząco głową.

To przecież niemożliwe - pomyślała. - Żeby Najady naprawdę żyły w tych wodach... prawda?

Awannah Matcha Skyglow

III miejsce: Antonina Pobłocka

Tosialand

Przerażająca historia!

Pewnego słonecznego dnia, kiedy skończyłam z siostrą oglądać straszny film o duchach, stwierdziłyśmy, że nie można marnować tak życia na elektronikę i poszłyśmy się przejść. Celem podróży było obejście naszej wioski, czyli Chocielewka, kiedyś zwanej Chotzłowem. Droga dookoła tej miejscowości zajmuje zazwyczaj około godzinę. Gdy już byłyśmy w połowie, zaczęło nam się dłużyć, ale zmieniło się to, kiedy ujrzałyśmy cmentarz w lesie. Od tego wszystko się zaczęło.

Strasznie się przestraszyłyśmy w chwili ujżenia tego cmentarza. Nie miałyśmy pojęcia, że tam był. Nigdy wcześniej nawet o nim nie słyszałyśmy, więc wzięłyśmy nogi za pas i zaczęłyśmy uciekać do naszego malutkiego domu. Droga powrotna ekstremalnie szybko nam minęła, nawet by można było powiedzieć, że w mgnieniu oka. Po powrocie włączyłyśmy nowoczesne komputery i zaczęłyśmy szukać ważnych informacji o tym cmentarzu. Okazało się, że to stary niemiecki cmentarz z czasów wojny. Więcej informacji nie udało nam się znaleźć, bo zrobiło się późno i musiałyśmy iść spać. Niestety ja nie poszłam do łóżka, bo ciągle rozmyślałam o pewnej legendzie, która była opisana w internecie. Dokładniej o Białej Damie, która była córką z rodu Pierchów i zmarła młodo. Podobno do dziś błąka się po lesie szukając drogi do domu. Byłam strasznie ciekawa, o co w tym chodzi, dlatego że ja kocham tego typu zagadki i w ogóle się ich nie boję. Rano, kiedy wstałam, od razu myślałam o tym, co wczoraj zaistniało i namawiałam mamę, żeby nie iść do szkoły, bo chciałam to zbadać. Niestety, nie udało mi się użyć odpowiednio mojego daru perswazji i poszłam do szkoły. W ogóle nie mogłam się skupić na lekcji, więc na przerwie chwyciłam telefon i napisałam do mojej siostry. Oczywiście nie o tym, nad czym wczoraj rozmyślałam, ale o tym, co było istotne: „Ejj, musimy zbadać tę wczorajszą sytuację. Idziemy tam dzisiaj?”. Myślałam, że moja siostra Zosia napisze „nie ma takiej opcji”. Jej odpowiedź natomiast brzmiała: „Jasne”. Po szkole od razu się przebrałyśmy w wygodne ubrania i ruszyłyśmy na wyprawę. Jednak zanim to nastąpiło, sprawdziłyśmy jeszcze w telefonie, czy pójdzie na ten cmentarz jest, aby na pewno bezpieczne. „Wujek google” nam powiedział, że nie ma się czego obawiać, więc udałyśmy się tam. Kiedy wychodziłyśmy, złapała nas

mama.

-A wy dokąd?-zapytała.

-Idziemy zbadać pewną rzecz, jak wrócimy to wszystko Ci opowiemy mamusiu.-oznajmiła moja siostra.

- Dobrze już dobrze, tylko bądźcie ostrożne. - powiedziała uśmiechnięta mama.

Szliśmy szybkim tempem, aby nie być tam za późno. Po drodze opowiedziałam Zosi o legendzie Białej Damy. Gdy usłyszała moje słowa powiedziała, iż nigdzie się stąd nie rusza. W końcu udało mi się ją przekonać i dotarliśmy na miejsce całe zestresowane przez wymyślone historyjki mojej siostry. Zajęło nam to trochę dłużej niż ostatnio, bo ponad czterdzieści minut, ponieważ podążaliśmy obmyślając, czy to aby na pewno dobry pomysł. Robiło się już ciemno, gdy dochodziłyśmy, ale i tak stwierdziłyśmy, że skoro już tu jesteśmy, to wchodzimy na ten cmentarz. Oczywiście Zosia była przeciwko, lecz i tak weszła. Może pomyślała, iż mnie samej tam nie wpuści. Od razu po tym jak się rozejrzałyśmy po całym cmentarzu, podeszłyśmy do pierwszego pomnika. Niestety nie mogłyśmy odczytać, co na nim jest napisane, bo był zasypany liśćmi i to nas zatrzymało. Nie wiedziałyśmy, co zrobić, aż nagle stwierdziłyśmy, że je zrzucimy. Po zrobieniu tego, usłyszałyśmy jakiś dziwny głos. Zosia zaczęła tak krzyczeć, że całe Chocielewko wiedziało chyba, gdzie jesteśmy.

- Proszę mnie zostawić!-powiedział oburzony głos.

Przerażone się odsunęłyśmy. Byłyśmy bardzo zdenerwowane. Jakim cudem na cmentarzu, jeszcze takim, gdzie nikogo raczej nie ma, słyszemy głos?! Jak mam być szczerą też myślałam o tej Białej Damie, ale nie mówiłam nic Zośce, aby mi stąd nie zwiąta. Przez sekundę wpatrywałyśmy się w siebie, potem od razu dookoła i w tym momencie zdarzyło się coś niesamowitego. Z nagrobków zaczęli wychodzić ludzie.

- Dlaczego naruszacie naszą prywatność? W czym możemy wam pomóc?- odezwali się.

- Przepraszamy bardzo, nie chcieliśmy, aby to tak wyglądało. W sumie przyszłyśmy dowiedzieć się czegoś o historii tego cmentarza. Nie wiedziałyśmy, że aż tak was to zaboli.-odpowiedziała moja siostra.

- Dobrze, to wam opowiemy, myśleliśmy, że przyszłyście porobić sobie z nas żarty. Ostatnio byli tu ludzie, którzy sobie robili, ale nie wnikajmy w ten temat, bo jest on dla nas bardzo bolesny... Przepraszamy za to obwinianie, mamy nadzieję, że nas rozumiecie. Przejdźmy do rzeczy.

Cmentarz powstał w związku z budową w tym miejscu kaplicy grobowej. Te dwa miejsca wzniesiono w 1640 roku przez ówczesnych właścicieli majątku Chocielewka Pierzchów, a co jest ważne Jerzy Pierch nakazał swoim podanym uczęszczania do tej kaplicy. Ten Cmentarz jest ważnym śladem niemieckiej historii tych terenów przed 1945 rokiem. Warto jeszcze dodać, iż był on ewangelicki. Niestety tylko tyle możemy wam teraz przekazać, bo musimy już zniknąć. Jak by ktoś nas tu zobaczył, to by się bardzo przeraził.- odpowiedział jeden z mężczyzn.

- Dobrze, dziękujemy bardzo za opowieść. Na pewno w domu jeszcze o tym poczytamy. Do widzenia.- powiedziała zerkając to na siostrę, to na tych ludzi.

Machając nam odeszli, wydawali się dumni z opowiedzianej przez siebie historii. Było nam smutno, że prawdopodobnie nigdy ich już nie zobaczymy, ale mam nadzieję, że za jakiś czas ta historia się powtórzy. W drodze powrotnej do domu bardzo dużo z siostrą rozmyślałyśmy o tym, co się przed chwilą stało. Stwierdziłyśmy, że to istne szaleństwo. Gdy wróciłyśmy wszystko opowiedziałyśmy mamie, która na początku powiedziała, żebyśmy nie wymyślały jakiś farmazonów tylko poszły się uczyć. W końcu jednak jakimś cudem nam uwierzyła. Chociaż może nie do końca... Powiedziała tak tylko dlatego, żebyśmy poszły się uczyć. Udałyśmy się więc do pokojów, a po chwili... obudziła nas mama.

Niestety okazało się, iż ta przygoda była tylko moim snem. Stwierdziłam jednak, że warto poczytać o tej historii. Okazało się, że opowieść przedstawiona przez ludzi z mojego snu jest prawdą. Jestem wdzięczna za ten sen, bo był on dla mnie dużą nauką... Mam nadzieję, że nie zapomnę tej historii do końca życia!

Tosialand



Wyróżnienie: Hanna Drywa

Dusza Lęborka

Dawno, zanim bruk nauczył się nosić ciężar ludzkich kroków, a mury przyjęły na siebie wiatr znad północy, ta ziemia była miejscem przysięgi.

Mówiono, że nad doliną Łeby czuwają cztery żywioły - Ogień, Woda, Powietrze i Ziemia - związane wolą dawnych żerców, którzy służyli bogom. Nie czcili ich ze strachu. Czcili ich z wiedzy, że świat jest równowagą, a równowaga nie znosi pychy.

Legenda mówi, że przed wiekami Perun i Weles weszli w spór o tę ziemię. Jeden chciał, by należała do nieba i piorunów, drugi - by przesiąkła mrokiem korzeni i podziemi. Ich walka rozdarła niebo, spaliła las i podniosła wody Łeby tak wysoko, że niemal pochłonęły dolinę.

Lębork powstał dokładnie tam, gdzie żywioły kiedyś się starły, na najwyższym wzniesieniu wykuto kamienny krąg, w którym zamknięto cztery siły świata.

Z czasem to miejsce zapadło się pod ziemię...

Babcia siedziała przy ogniu, splatając warkocz małej Veleslavy, powoli przesuwając palce przez ciemne włosy. Każdy ruch był dokładny, powtarzalny, jak rytuał przekazywany z pokolenia na pokolenie. „Wiesz, co tak na prawdę się stało z twoim dziadkiem, kiedy wyszedł tamtej nocy?” - zapytała cicho. „Nie wrócił, bo las go wciągnął w mgłę, a jego kroki nigdy już nie zostały usłyszane.”

Mała patrzyła na palce babci odbijające się w lustrze, na warkocz, który powstawał pod jej dotykiem. Świeca w kącie migotała, a cienie w kątach pokoju poruszały się jak żywe. „Zmory żyją w nocy,” ciągnęła starsza kobieta, nie spuszczając dłoni z włosów dziewczynki. „Nie mają ciał takich jak my. Czają się w mgłach, w rzekach, w cieniu drzew. Obserwują, wybierają. Nigdy nie wychodź po zmroku, Lucina. Trzymaj się od nich z daleka.”

Veleslava miała włosy ciemne jak noc, które potyskiwały w ogniu, a jej drobną sylwetką balansowała między spokojem a lękiem, obserwując świat wokół. Warkocz, który babcia splatała tak starannie, zdawał się być symbolem ochrony - każda pętla i splot jak mała przestroga, pieczęć przeciwko cieniom, które czały się w nocy.

Dziesięć lat później mgła w lesie na obrzeżach Lęborka wypełniła powietrze, deformując świat. Veleslava, już dorosła a jej włosy splecione były w luźny warkocz. Ciemnozielone oczy czujnie obserwujące każdy cień; poruszała się powoli, świadoma każdej nierówności terenu. Każdy krok był testem, każdy ruch musiał wyczuć obecność, której nikt inny nie widział.

Nie szła bez celu. Chciała odkryć prawdę.

Pierwsza zjawy pojawiła się nagle - strzyga, ciało płynne i nierzeczywiste, wypełniające przestrzeń ciemnością. Walka polegała na balansowaniu między cieniem a światłem, między strachem a świadomością, między realnością a złudzeniem.

Potem pojawiły się zmyły - fale cienia, które mieszały sny z rzeczywistością. Jej ruchy były jak taniec z niewidzialnym przeciwnikiem, każdy krok testował koncentrację i spokój. Utopce w rzece deformowały nurt, próbując wciągnąć jej uwagę, ale wyczuwała rytm wody, kołyszając się, między realnym światem, a złudzeniem.

Piąty żywioł - Dusza - objawił się w tym chaosie. Nie był mocą fizyczną, lecz pierwotną, mroczną obecnością, żyjącą w lęku i odwadze ludzi, w prawdzie i zdradzie. To on trzymał resztę żywiołów w ryzach, utrzymując równowagę między ogniem, wodą, ziemią i powietrzem.

Pod miastem stary kamienny krąg rozsadała niestabilność czterech żywiołów. Wiatr rwał dachy, woda wylewała się z rzek, ziemia drżała, ogień tlił się w pustych domach. Cisza, którą miała utrzymać Dusza, gasła.

Veleslava musiała zejść w podziemia, do ostatniego kręgu, który przez wiele lat pozostawał pusty; nikt nie zwracał uwagi na delikatne i ciepłe światło, które przenikało przez trawę. Każde spotkanie ze strzygą, zmorą, utopcem czy wodnikiem było testem jej obecności i skupienia.

Chaos na zewnątrz robił się coraz silniejszy, żywioły szalały. Stare drogi z kostki brukowej falowały i wypychały ludzi z domów, świece na ulicach gasły.

W końcu dotarła do kręgu. Dusza objawiła się w pełni - jako światło, które tętniło życiem i jako cisza wypełniająca przestrzeń, pierwotna, przenikliwa, odbijająca wszystkie grzechy i prawdy ludzi. Ostatni test wymagał, by mieszkańcy Lęborka spojrzeli w swoje serca, przyznali się do win, naprawili krzywdy, przebaczyli i stanęli w prawdzie.

Dusza wypełniła pustkę między symbolami. Cztery żywioły uspokoiły się: powietrze lekkie, ziemia stabilna, woda czysta i spokojna, ogień nie zagrażał niczemu. Nie była mocą do posiadania, lecz odbiciem ludzkich serc.

Lębork przetrwał nie dzięki mieczom ani zaklęciom, lecz dzięki temu, że Veleslava odważyła się przejść przez cienie zmor, utopców i wodników, przywracając Duszę - piąty, mroczny żywioł, który utrzymuje równowagę świata, nie jako siłę, lecz jako obecność w ludziach.

Herb: LOLA

Wyróżnienie: Klara Lejk

„Dziewczyna w gęstwinach”

Gdzie łąki i lasy otaczały wioski wiele,
Mieszkała dziewczyna, która w lęborskim bywała kościele.
Bogactwa nie pragnęła wcale,
Chciała tylko z naturą spędzać dni całe.

W gęstym lesie mieszkała,
i choć nikogo nie zapraszała,
to nie była sama,
bo ze zwierzyną przebywała.

Gdy sroga epidemia nastąpiła,
połowa ludności zachorowała.
Dziewczyna schorowaną damę zobaczyła,
i wyniszczoną cierpieniem kobietę uzdrowiła.

Gdy plaga ustała,
Wytworna dama, która u dziewczyny się zatrzymała,
ludziom powiadała,
że niewiasta z lasu, czarownicą się stała.

Ludzie stos przygotowali
i niewiastę skazali.
Jednak dziewczyna w gwiazdę się zmieniła,
i nad Lęborkiem niezwykłym światłem zaświeciła.

Wyróżnienie: Borys Sobieraj

MĄDRALA

Przymierze Lema i Borka

Istnieją melodie, które potrafią otwierać drzwi do przeszłości. Dla mnie taką melodią jest piosenka, którą babcia nuci w wolnych chwilach. Słowa o lęborskim grodzie, który od tysiąca lat wiernie trwa na straży słowiańskich rubieży, codziennie przyglądając się w lustrze rzeki Łeby, bez względu na pogodę, zawsze działają na mnie tak samo. Moja wyobraźnia zaczyna pracować na najwyższych obrotach, budując obraz miasta sprzed wieków. Tak właśnie narodziła się ta opowieść...

W onych dawnych czasach, gdy pomorskie puszcze były jeszcze gęste i nieprzebyte, a rzeka Łeba wiała się wartkim nurtem pośród zielonych mchów i wysokich paproci, nad jej brzegi przybyli dwaj niezwykajni mężowie.

Pierwszym był książę Bork. Był to rycerz o srogim wejrzeniu i mężnym sercu. Szukał ziemi pod budowę swego grodu. Towarzyszył mu wierny kompan, człek w rzemiośle biegły i bystry - młynarz Lem.

Obaj stanęli na wzgórzu górującym nad doliną. Wtedy książę wskazał dłonią na zakole rzeki i, poważnie mrużąc oczy, rzekł:

- Spójrz, drogi Lemie, oto miejsce, w którym osiadziemy. Tu wzniosę twierdzę nie do zdobycia, z murem obronnym i licznymi basztami, które będą strzegły naszych granic.

Młynarz skinął głową, położył dłoń na sercu i odpowiedział:

- Zacny to plan, panie. Ja także dołożę swoich starań. Uczynię wszystko, co w mojej mocy, by żyło się tu dostatnio i bezpiecznie.

Obaj zawarli przymierze, a od splecionych imion tych założycieli gród nazwano Lębork.

Przez wieki owo miejsce rosnęło w siłę i potęgę. Nad dachami domów zaczęły górować baszty, a pośród nich szczególnie wyróżniała się Baszta Bluszczowa, opleciona zielonym pancerzem roślin aż do samej ziemi.

W jej głębokich podziemiach, według podań, nigdy nie więziono ludzi. Trzymano tam bowiem niezwykłego strażnika, lwa o szafirowych ślepiach i złotej grzywie. Ten duchowy opiekun grodu został kiedyś znaleziony ranny w pobliskim lesie przez Lema. Młynarz opatrzył jego rany, pielęgnował go i przez długi czas przywracał zwierzęciu zdrowie. Lew odwdzieczył się niezwykłym darem.

Potrafił wyczuć intencje każdego przybysza, który przekraczał bramę grodu. Gdy zbliżał się wróg, choćby odziany w najpiękniejsze szaty i udający przyjaciela, lew uderzał ogonem o kamienne ściany lochu i donośnie ryczał. Dźwięk ten niósł się przez system podziemnych kanałów i zdawał się ostrzegać strażników.

Lem, który rozumiał mowę zwierząt, tłumaczył słowa lwa:

- Strzeżcie się! Pod płaszczem tego przybysza czai się zdrada!

Strażnicy, słysząc to, natychmiast chwytały za broń.

Mawiano też, że gród miał jeszcze jednego wroga, którego nie mogły powstrzymać żadne miecze. Były nim rozległe i zdradliwe bagna ciągnące się wokół rzeki Łeby. To właśnie tam, nie wiadomo skąd, przybywały tysiące maleńkich srebrzysto-zielonych żabek. Ponoć ich kumkanie było tak potężne, że zagłuszało nawet dzwony Kościoła Świętego Jakuba. Mieszkańcy bojaźliwie szeptały, że są to duchy dawnych flisaków, które zastygły w żabiej postaci, by pilnować czystości wód zasilających fosę grodu.

Pewnej gwiazdzistej nocy wibracje bagien zaczęły kruszyć fundamenty jednej z baszt.

Wtedy lew o złotej grzywie wy dostał się z lochów i stanął pośrodku rynku. Jednym potężnym rykiem uciszył całą okolicę.

Wówczas z odmętów bagien wychyliła się najstarsza z żab i przemówiła:

- Dlaczego przerywasz nasze koncerty? Ta woda i te błota należą do nas.

Lew potrząsnął grzywą i odpowiedział władczy tonem:

- Niszczycie mury, które budowali moi opiekunowie: Bork i Lem. Jeśli się nie uciszycie, włodarze grodu osuszą bagna i nie zostanie po was nawet ślad.

Żabia królowa zamyśliła się przez chwilę, po czym rzekła pojednawczo:

- Zawrzyjmy więc ugodę. Nasze kumkanie zamienimy w śpiew, który będzie ostrzegał mieszkańców przed nadchodzącym niebezpieczeństwem. I tak zawarto niezwyklej sojusz.

Na pamiątkę tego przymierza w sercu grodu wytrysnęły fontanny z siedzącymi żabkami. Stały się one powierniczkami wielu tajemnic. Mawiano, że kto zaczerpnie wody z ich misy, ten cieszyć się będzie zdrowiem i pomyślnością.

Do dziś, gdy słońce zachodzi nad murami Lęborka, można odnieść wrażenie, że duchy założycieli wciąż przechadzają się brukowanymi uliczkami miasta.

A lew, dumny strażnik grodu, pręży pierś w herbie miasta na tle zamku i szumiącej rzeki Łeby.